№ 33 WARSZAWA, DNIA 17 SIERPNIA 1912 ROKU ROK II



TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DORASTAJĄCEJ MŁODZIEŻY.

Jeden dzień z życia amerykańskiego dziennikarza w r. 2889.



Ludzie XXIX w. żyją wpośród takich cudów, że nic ich już nie dziwi; wszystko, co im postęp codzień nowego przynosi, przyjmują jako rzecz zwykłą.

Gdyby chcieli naszą teraźniejszą cywilizację częściej porównywać z dawniejszą i zdawać sobie sprawę z ogromu przebytej przez nią przestrzeni, ceniliby ją więcej. Wtedy wydałyby się im piękniejszemi współczesne miasta nasze, o ulicach stumetrowej szerokości, z domami wysokiemi na trzysta metrów, z jednakową wciąż temperaturą, z krzyżującemi się w powietrzu miljonami powietrznych wagonów i omnibusów! Czemże są wobec tych miast, których ludność dosięga niekiedy dziesięciu miljonów, te nędzne mieściny z przed tysiąca lat: owe Paryże, Londyny, New-Jorki, źle przewietrzane, błotniste, gdzie krążyły hałaśliwe pudła, ciągnione przez... konie! Tak, tak! Przez konie, to rzeczywiście nie do uwierzenia!

To też jestem pewnym, że gdyby tylko dzisiejsi ludzie pomyśleli nad wadliwem działaniem dawnych okrętów i kolei, nad częstemi ich spotkaniami, oraz powolnością, ceniliby lepiej dzisiejszą idealną komunikację powietrzną! Cóż może się porównać z pociągiem powietrznym, a szczególniej z tubami pneumatycznemi, założonemi na dnie oceanów, w których podróżni robią pięćset kilometrów na godzi-

nę? A cóż powiedzieć o telefonach i telefotach, gdy je porównamy z przedpotopowym przyrządem, zwanym przez przodków naszych „telegrafem”?

Rzecz szczególna! Wszystkie te zadziwiające udoskonalenia są przecież osnute na zasadach, znanych dobrze naszym pradziadom; nie umieli oni jednak osiągnąć z nich prawie żadnej korzyści. Przecież ciepło, para, elektryczność są równie stare jak ród ludzki!

A czyliż w końcu XIX w. uczeni nie utrzymywali, że jedyną różnicą między siłami fizycznemi i chemicznemi jest odmienny ruch atomów eterycznych?

Ponieważ wielki krok naprzód w rozpoznawaniu pokrewieństwa tych sił był już wtedy uczynionym, jest trudnem do pojęcia, że trzeba było aż tak długiego czasu na to, ażeby sposób owego ruchu molekularnego—właściwy każdej z tych sił—określić! A jednak tak się stało, że dopiero w roku 2790, t. j. przed stu przeszło laty—sławny Oswald Nyer dokonał tego wynalazku.

Zaprawdę, ten wielki człowiek stał się dobroczyńcą ludzkości. Jego gienjalne odkrycie stało się źródłem wielu innych. Powstałą stąd plejadę wynalazców kończy nasz nadzwyczajny James Jackson*).

Jemu to zawdzięczamy nowe akumulatory, z których jedne skupiają siłę, zawartą w promieniach słonecznych, inne elektryczność, nagromadzoną w głębi kuli ziemskiej, inne jeszcze siłę, pochodzącą z jakiegobądź źródła: spadku wody, wiatru i t. p. On też obdarzył ludzkość transformatorem, który, za pokręceniem rączki czerpie siłę z akumulatorów, którą po dokonanej przez nią pracy, zwraca przestrzeni pod postacią ciepła, światła, elektryczności lub siły mechanicznej.

Data wynalezienia dwóch tych cudownych przyrządów jest początkiem prawdziwego postępu. Nadały one człowiekowi prawie nieograniczoną władzę!

Zastosowania ich są wprost niezliczone.

Zmniejszając ostrość zimy przez zużytkowanie nadmiaru ciepła, gromadzonego podczas lata, dokonały przewrotu w rolnictwie. Dostarczana przez nie siła do poruszania statków powietrznych, pozwoliła na wspaniały rozwój handlu.

Im to zawdzięczamy wytwarzanie elektryczności bez stosów i maszyn, światło nie zużywające powietrza ani opału i nakoniec to niewyczerpane źródło energji, które powiększyło stokrotnie wytwórczość w dziedzinie przemysłu.

* * *

Zbiorem tych wszystkich cudów jest nieporównany z niczem pałac dziennika p. t. „Zwiastun Wszechświatowy”, świeżo wykończony w 16823-ej alei Nowego-Jorku.

Cóżby powiedział Gordon Benett, założyciel „Zwiastuna Nowojorskiego”, gdyby mógł teraz ożyć i ujrzeć ten czarodziejski pałac z marmurów i złota, należący do jego potomka, sir Francisa Benetta? Przez trzydzieści pokoleń dziennik ten pozostawał w rękach tej rodziny! Kiedy przed dwustu laty zarząd Stanów Zjednoczonych przeniesiono z Waszyngtonu do Centropolis, dziennik poszedł za przykładem rządu i zmieniwszy tytuł, nazwał się „Zwiastunem Wszechświatowym”. I wcale nie gorzej wiodło mu się pod zarządem sir Francisa Benetta; przeciwnie, nowy dyrektor nadał mu nieporównaną moc i aktualność, wprowadzając dziennikarstwo telefoniczne. Jest to dziś znany już sposób, możliwy przy niesłychanym rozwoju telefonów.

Każdego rana, zamiast dziennika drukowanego, jak w czasach starożytnych, mamy dziennik mówiony. Czytelnicy w szyb-

*) Wymawia się: Dżems Dżekson.

kiej rozmowie z reporterem, politykiem lub uczonym, nabywają potrzebnych wiadomości; ci zaś, którzy dawniej kupowali na ulicy dzienniki, dziś dowiadują się o ich treści w niezliczonych gabinetach fonograficznych. Ta nowość tchnęła nowe życie w stare pismo. Po kilku miesiącach liczył już osiemdziesiąt pięć miljonów abonentów, a majątek jego właściciela wzrósł do trzydziestu miljardów. Cyfra ta jest obecnie nawet większą, co pozwoliło sir Benettowi wybudować nowy pałac, olbrzymi czworobok o czterech frontach, z których każdy ma trzy kilometry długości. Na szczycie powiewa dumnie chorągiew Stanów Zjednoczonych, którą zdobi siedemdziesiąt pięć gwiazd na tle niebieskiem, oznaczających liczbę Stanów, tworzących Związek.

Obecnie Francis Benett, król dziennikarzy, mógłby być królem obu półkul Ameryki, gdyby jej mieszkańcy mieć go chcieli kiedy.

Czy wątpicie o tem? Spójrzcie tylko jak wysłańcy różnych narodów i nasi właśni ministrowie cisną się do drzwi jego, błagając o jego rady, czatując na pochwały, lub wzywając poparcia wszechmożnego dziennika!

Policzcie, ilu uczonych zachęca do prac dalszych, ilu utrzymuje artystów, ilu wspiera wynalazców! Królowanie jego jest męczące, praca bez odpoczynku, i człowiek dawny nie mógłby jej podołać. Szczęściem, dzisiejsi ludzie są silniejszej budowy, dzięki rozwojowi hygjeny i gimnastyki, który sprawił, iż średnia długość życia ludzkiego wynosi dziś nie 37, lecz 68 lat. Przyczyniają się też do tego i pokarmy aseptyczne, zanim doczekamy się wynalazku powietrza odżywiającego, które nam pozwoli posilać się za pomocą oddychania.

A teraz, jeśli chcecie poznać, jaki ogrom pracy zawiera się w każdym dniu, przeżytym przez dyrektora „Zwiastuna Wszechświatowego”, zechciejcie towarzyszyć mu w jego licznych zajęciach dziś, 25 lipca 2889 roku.

* * *

Francis Benett obudził się dnia tego w dość posępnym humorze. Oto już od ośmiu dni jest osamotnionym, gdyż małżonka jego bawi we Francji.

Czy uwierzycie, że jest to ich pierwsza rozłąka od czasu, gdy się pobrali, czyli od lat dziesięciu? Zwykle starczyło kilku dni na wycieczkę do Europy dla pięknej pani Edyty Benett, gdyż zwykle osobiście dopełniała kupna swych kapeluszy w Paryżu. Obudziwszy się, Francis Benett sięgnął po rączkę fonotelefotu, którego druty doprowadzone były do jego pałacu na Polach Elizejskich w Paryżu.

Telefon, uzupełniony przez telefot—oto wielki wynalazek naszych czasów!

Przenoszenie słowa za pomocą prądów elektrycznych było rzeczą znaną już w starożytności, ale odbicie ludzkich postaci na największą odległość, jest wynalazkiem zaledwie wczorajszym.

To wielkie odkrycie błogosławił zapewne i Francis Benett, ujrzawszy postać swej ukochanej żony w zwierciadle telefotycznem pomimo dzielącej ich odległości.

Zmęczona zapewne balem lub teatrem, urocza pani Benett spała jeszcze, lecz słuch uwielbiającego ją męża pochwycił szept cichy jej ust:

— Francis, mój drogi Francis!

D. c. n.

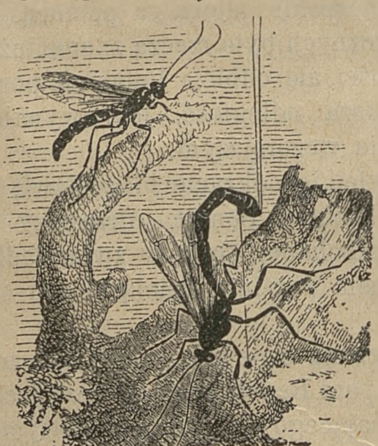
Obrońcy drzew.

DOKOŃCZENIE

To też i korniki, choć skryte napozór bezpieczne w pniu drzewnym, spotykają i tam nieprzyjaciół, którzy korzystając z wydrążonych już chodników, podróżują po nich, tępiąc budowniczych wraz z ich potomstwem. Są to bladoróżowe larwy mrówkowca, który nazwę swoją zawdzięcza swej wielkiej ruchliwości, choć żywi się nie mrówkami, lecz larwy jego tępią owady drzewożerne.



Kusaki czyli kąsawce.



Zamarnik.

Wewnątrz pni żyją także larwy kusaka, tak zwanego dla bardzo krótkich, kusych skrzydeł, z pod których $^2/_3$ odwłoka są widoczne. Choć larwy jego żywią się wyłącznie kornikami, które zjadają w wielkiej ilości, on sam jednak, po zupełnej przemianie, spożywa z równym apetytem gnijące cząstki roślin, małe owady nawet grzyby różnych gatunków. Że jednak będąc larwą, niszczy wiele szkodników drzewnych, przeto go możemy zaliczyć do szeregów pożytecznych owadów. Nazywają go także kąsawcem.

Oryginalnym owadem jest czarny, cienki, z przezroczystemi skrzydłami zamarnik. Posiada on dziwny instynkt wyczucia po wierzchu kory, gdzie siedzi pod nią larwa jakiego owadu. Zatrzymuje się tam natychmiast i podobnie jak trzpiennik, zaczyna szybko wbijać pokładełko w korę, przyczem osłaniające je dwie pochewki unosi w górę, jak to widzimy na rysunku. Musi się śpieszyć z tą robotą, gdyż chce on złożyć jajeczko nie w korę lecz w ciało gąsienicy, którą poczuł pod korą. Najczęściej jednak zamarnik korzysta z otworów już gotowych, wywierconych przez trzpienniki, lub owady, które po przebyciu wewnątrz drzewa swej przemiany, wygryzały się z niego na zewnątrz. Złożone przez niego jajeczko rozwija się w ciele gąsienicy nader dowcipnie: żywi się ono tłuszczem, nagromadzonym w jej ciele, a ona sama może żyć dalej, nawet zamienić

się w poczwarkę, lecz nigdy w owad, ponieważ wtedy zostaje już doszczętnie zjedzoną przez czerw zamarnika.

Podobne obyczaje ma i zgłębiec, odznaczający się długością pokładełka, które ma prawie 6 cent. Podziwiać należy jego



Gąsienicznik dżgacz.

dziwną zdolność wyczuwania pod korą nierobiącej żadnego hałasu larwy, którą zawsze wynajdzie i jajeczko swe wkłada w nakłucie zrobione na jej grzbiecie. Wszystkie te owady, składające w ciele żywych gąsienic swe jajka, noszą wspólną nazwę gąsieniczników; niektóre z nich nie szukają larw żyjących w głębi drzew, lecz składają jajka na gąsienicach żyjących na roślinach; te jednak gatunki mają pokładełka bardzo krótkie.

Do nich należy gąsienicznik dżgacz, przed którym żadna gąsienica nie ucieknie. Pomówimy jeszcze o jednym gatunku gąsienicznika: jest nim mała oska, baryłkarzem zwana; ta wybiera sobie za ofiarę jaką dużą gąsienicę i składa w jej nie jedno, lecz mnóstwo jajeczek, z których wylęgłe czerwie toczą jej ciało.

Podrósłszy, wygryzają się z niego na wierzch i obsiadają dokoła gąsienicę, która zjadana żywcem ginie w męczarniach. Nie należy więc wypowiadać bezwzględnej wojny gąsienicom, gdyż większa część ich jest przeznaczoną na to, aby służyła wrogom swym za pokarm.

Im więcej gąsienic, tem więcej się z nich



Baryłkarz i jego czerwie.

wylęga pasożytnych owadów—po zmniejszeniu się liczby gąsienic, dzieje się to samo z pasożytnemi owadami, które wówczas nie mają gdzie składać swych jajek. Słowem, panuje tu cudowna równowaga i harmonja, nie dopuszczająca do nadmiernego rozwinięcia się jednego gatunku stworzeń, lecz zmuszająca wszystkie do równomiernego rozwoju.

Gustaw le Rouge.

NIEWIDZIALNI.

Ciąg dalszy.

Myśliwy zbliżał się powoli, patrząc na mnie, a twarz jego wyrażała najżywsze zaciekawienie. Wkrótce rozdzielała nas tylko szyba kryształowa: patrzyliśmy na siebie wzajemnie i naraz, z niewiadomej mi dotąd przyczyny, twarz myśliwego przybrała wyraz przestrachu, a nawet zgrozy.

Zapewno nie widział nigdy istot do mnie podobnych: ciałem jego wstrząsał dreszcz i zdawał się nie rozumieć wcale mojego uśmiechu i przyjaznych gestów, jakie w celu ośmielenia go czyniłem.

Postawszy tak przez parę minut, odwrócił się i zaczął uciekać: ujrzałem go jak znikał w gąszczu krzewów, okalającym zapewne jakąś wioskę podwodną. Stałem długo jeszcze na tem samem miejscu, pogrążony w myślach.

W miarę, jak poznawałem tajemnice planety, zdziwienie moje wzrastało...

Postanowiłem w końcu iść dalej tą galerją, oświetlonej okrągłemi oknami z kryształu, wychodzącej na dno morskie.

V. Arsenały i katakomby.

Galerja ta była nieskończenie długą i wkrótce zrozumiałem, że została zbudowaną dla przejścia z jednej wieży do drugiej, lecz daremnie wysilałem wyobraźnię, aby wynaleźć powód dla którego były wzniesione tak olbrzymie gmachy.

Krajobrazy podwodne, widziane przez okna galerji, zdumiewały mnie swą rozmaitością. Były tam lasy krzaków wysokich, o liściach ciemno-zielonych, żyłkowanych złotem, gałęziach giętkich i lepkich. Pod niemi olbrzymie kraby, swemi ciężkiemi łapami miażdżyły muszle i wyjadały z nich mięczaki.

Dalej znów były ogrody z kwiatami o barwach świetnych, a nad niemi, jak rój motyli, trzepotały się całą chmurą srebrzyste, drobne rybki.

Jeszcze dalej, widać było głębokie groty, w których się poruszało mnóstwo istot o kształtach ludzkich.

Pomyślałem że to musi być jakaś kopalnia, w której się prowadzą roboty górnicze.

Z innego okna ujrzałem rodzaj długich rowów, poprzedzielanych w poprzek murem na wysokość człowieka; w każdej takiej przegrodzie znajdował się wielki skorupiak, podobny do homara lecz znacznie większy. Niektóre z nich miały około pięciu metrów długości, a ich potężne nożyce musiały być bronią straszliwą; brzegi ich wewnętrzne, piłkowane, mogłyby z łatwością przeciąć na pół dorosłego człowieka.

Każdy z nich był uwięzionym na łańcuchu; wkrótce ujrzałem morskiego człowieka jak się zbliżył do nich, uginając się pod ciężarem kosza z rybami. Przystawał przy każdej zagrodzie i każdy ze skorupiaków dostał po sporej rybie.

Przyglądałem się tej scenie z zajęciem: z przegród wysuwały się potężne łapy i chwytały rzucone im pożywienie.

Było to zapewne sztuczne tuczenie tych

skorupiaków, które brano na pokarm dopiero wtedy, gdy już były tłuste.

Opodal znów, na pięknej, zielonej łące, kilkaset wielkich żółwi zostawało pod dozorem pasterza, uzbrojonego metalowym bumerangiem i mającego do pomocy dwie wydry morskie z długiemi wąsami—zamiast psów.

Pasterz zajęty był zbieraniem muszli, które wkładał do małego koszyka i nie zauważył mię wcale, pomimo, iż wykonywałem różne ruchy, aby zwrócić na siebie jego uwagę.

Lecz przeznaczonem mi było ujrzeć jeszcze dziwniejsze rzeczy.

W jednem z następnych okien ujrzałem prawdziwą wioskę podwodną. Było tam około stu chatek o dachach spadzistych; stały one wdzięcznie rozrzucone wśród gajów alg, żółtych i niebieskich.

Był widok zachwycający. Domki zbudowane z korali czerwonych lub białych, a wiele z nich było ozdobionych na zewnątrz błyszczącemi muszlami. Rzekłbyś, perłowo-koralowe miasto, uśpione w głębi fal.

Oswojone foki i wydry drzemały leniwie na progach domów. Wązkie okna miały szyby okrągłe i wypukłe; jak sądzę, był to szyldkret wyszlifowany do przezroczystości.

Piękne drzewa koralowe, rozrzucone tu i owdzie, ożywiały ten czarujący zakątek. W pewnych odstępach stały tam kolumny, a na nich spore, płaskie czary czy misy; nie umiałem odgadnąć ich przeznaczenia, lecz powiedziałem sobie, iż pewnie służą do oświetlenia.

Jakże czarowny widok musiała przedstawiać ta wioska uśpiona w głębinach morskich i oświetlona łagodnem światłem!

Oprócz stworzeń, drzemiących przy progach domostw, nie widziałem tam żadnej żywej istoty: mieszkańcy byli zapewne gdzieś dalej, zajęci polowaniem, lub doglądaniem trzód.

Jednak, wrażenie odniesione z oglądania tych wszystkich cudów, nie mogło przytłumić uczucia głodu, które się stawało coraz dokuczliwszem i nie widziałem sposobu, w jaki mógłbym je zaspokoić.

O, czemuż nie byłem stworzony do życia podwodnego! Skruszyłbym szybę, oddzielającą mię od tych cudownych wiosek, prosiłbym o gościnność mieszkańców tych chatek z pereł i korali, a jestem pewien, że nie odmówionoby mojej prośbie!

Teraz zaś nie wiedziałem, co mam robić ze sobą.

Domyślałem się, że na końcu galerji którą szedłem, napotkam inną wieżę, równie pustą i milczącą jak ta, którą niedawno opuściłem. Czyż się nie ukaże nikt z mieszkańców tych zaczarowanych pałaców?

Chęć wyjaśnienia tej tajemnicy powracała ciągle do mej myśli, choć starałem się o niej zapomnieć; nie mogłem przeniknąć tej zagadki i męczyło mię to nad wszelki wyraz.

Usiadłem, aby trochę odpocząć i zastanowić się, co robić dalej, kiedy ujrzałem niską, sklepioną arkadę, która zapewne prowadziła na piętro położone pod galerją. Właśnie się namyślałem, czy mam się w te ciemności zapuścić, kiedy ztamtąd doleciał mnie nagle wybuch śmiechu tak dzikiego, że zdrętwiałem; był to taki sam, jak ten, który słyszałem w gęstwinie roślin powietrznych.

Ten śmiech zgrzytliwy, ostry, który nie miał w sobie nic ludzkiego, na razie przejął mię zgrozą; uczułem chłód śmiertelny w sercu, nogi się ugięły podemną na myśl, że mogę znaleźć się wobec potworów straszniejszych nad wszystko, co dotąd widziałem. Przezwyciężyłem jednak to uczucie i zebrawszy odwagę wszedłem pod ciemne sklepienie.

Wszystko było lepsze od niepewności, w jakiej zostawałem; zresztą, wydawało mi się niepodobieństwem, aby istoty, mogące wznieść tak wspaniałe budowle, miały być dzikie i okrutne.

Byłem pewnym, że się porozumiem z niemi.

(D. c. n.) (Tłom. z fran. *K. W.*).

BOLESŁAW PRUS.

SIEROCA DOLA.

Ciąg dalszy.

Około czwartej wszedł Młynkiewicz.

— Trzeba odesłać ten list i konie panu Adamowi—rzekł szlachcic.

— Wola pańska!..—odparł ekonom.

A potem spytał:

— To pojedzie pan do Warszawy?...

— Pojutrze!—odpowiedział pan Anzelm.

Ekonom pokręcił głową i wyszedł.

Gdy szlachcic znowu został sam, już śmiało spojrzał na portrety przodków. I on także umiał poświęcić dla ogólnego dobra chociaż część skromnych resztek, i on do stołu swego prowadził sierotę, aby przygotować społeczeństwu obywatela.

8. Opuszczony.

Jaś, uciekłszy od majstra, opamiętał się dopiero na Placu Teatralnym. Zmęczenie pohamowało go w biegu, powietrze orzeźwiło. Spojrzał dokoła i zobaczył ludzi zamyślonych, rozmawiających lub uśmiechniętych, którzy szli za swojemi interesami, nie mając zamiaru łapać go, ani zakuwać w kajdany. Zrobiło mu się jakoś rzeźwiej i bezpieczniej. Czuł, że w tem miejscu, wobec tylu osób łagodnych, pięknych i dobrze ubranych, majster nie śmiałby go bić i nazywać złodziejem. A zresztą niechnoby spróbował!... Jasiowi przyszedł na myśl goniony przez oprawcę pies, którego uratowali przechodnie. Mieliżby ci sami przechodnie być mniej litościwymi dla niego?,..

W Saskim Ogrodzie śmiałość jego spotęgowała się jeszcze bardziej. Kto go tu zechce chwytać?... Czy ten siwy a rumiany pan, któremu z niebieskich oczu patrzy uczciwość?... Czy ta w aksamitnej okrywce dama, której prześliczna twarz tchnie dobrocią?... Czy może ci mali chłopcy, którzy wyglądają tak, jakby się z nim chcieli bawić?... Niepodobna, aby kto zapragnął go skrzywdzić, tu, wobec pogodnego nieba, drzew szronem okrytych, wiecznie zadumanych posągów i ludzi, przynajmniej na pozór szczęśliwych!

Obszedłszy parę razy ogród, Jaś wydobył się za Żelazną Bramę. Myśli jego uległy zmianie. W miarę oddalenia się od eleganckiej części miasta, spotykał coraz więcej ludzi skromnie, a nawet nędznie ubranych. Twarze były blade i smutne, spojrzenia dzikie, Jaś uczuł głód, a jednocześnie począł się lękać. Zdawało mu się, że każdy przechodzień patrzy na niego podejrzliwie i gniewnie, że wielu ogląda się za nim i wskazuje go palcem. Bez uzasadnionej przyczyny obawa jego przeszła w trwogę, w paniczny strach, w rozpacz... Przyśpieszył kroku; serce poczęło mu gwałtownie bić, nie odróżniał już przedmiotów, a instynkt począł go naglić do ucieczki.

Szczęściem, ostatnie błyski rozsądku powstrzymały go, szedł więc zwolna jak automat, potrącając ludzi i ocierając się o ściany domów.

— Patrzcie!—zawołała jakaś kobieta:— ten chłopiec musi być pijany, albo ślepy!...

Jasiowi, gdy to usłyszał, zdawało się, że go coś dusi za gardło; lecz i tym razem nie przyśpieszył kroku i po upływie kilku minut znalazł się na mniej ludnej ulicy. W jednej z bram spotkał chudą dziewczynę z konewką wody i rzekł:

— Pić!...

Dziewczyna napoiła go i coś mu odpowiedziała z uśmiechem, lecz nie zrozumiał jej. Gdy poszła dalej, podniósł głowę machinalnie i zobaczył szyld z napisem:

Ochrona.

Był to przytułek dla dzieci biednych, jak on. Jaś wiedział o tem, zawrócił się więc i powędrował dalej. Dokąd?...

Na Placu Wareckim stanął przed ogromnym szpitalem. Tu chronili się ci, nad którymi ciężyła ręka śmierci. Ponieważ jednak nad nim ciężyło tylko sieroctwo i zarzut kradzieży, spuścił więc głowę i znowu poszedł dalej.

Ponieważ dął mu w oczy ostry wiatr, chłopiec skręcił na lewo i dostał się na uliczkę pustą i spokojną. Stracił już wątek myśli, władzę nad sobą i stał się podobnym do rzeczy martwej, której lada powiew nadaje nowy kierunek.

Na Nowym Świecie zbudził go niezwykły hałas; to gromada ludzi otaczała dwa indywidua, prowadząc pod ramiona obdartego biedaka.

— Co to jest?—spytał Jaś na los szczęścia.

— Pijanego prowadzą do cyrkułu—odpowiedział ktoś z tłumu.

Chłopiec począł znowu myśleć. Ubogie dzieci mają przytułek w ochronach, chorzy w szpitalach, pijaki w cyrkułach...

A gdzież on się pomieści, on, najuboższe dziecko na świecie?... chyba w więzieniu!

Jaś był bardzo zmęczony; nogi pod nim drżały i uginały się, ręce ciężyły mu w bolesny sposób. Czuł głód, lekkie mdłości, morzył go sen, potrzebował spocząć choć na chwilę, lecz nie miał gdzie. Miejsca w ochronach, szpitalach i cyrkułach były zajęte przez innych, a do więzienia nie chciał iść.

W takim stanie umysłu, idąc ciągle naprzód i potykając się na nierównym chodniku, sierota zwrócił oczy na środek ulicy, po której mnóstwo sanek i powozów przebiegało, i — po raz pierwszy w życiu, mając dopiero lat jedenaście, uczuł pociąg do samobójstwa. W tej chwili wyobraził sobie ból, jakiby mu sprawiły uderzenia końskich kopyt, usłyszał głuchy chrzęst włanych kości, lecz nie czuł trwogi, podobnie jak człowiek, który cierpiąc na ząb, raczej z rozkoszą aniżeli z przestrachem myśli o wyrwaniu go.

Tymczasem powozy i sanki roiły się jak muchy wśród lata. Jaś stanął. Jeden z przechodniów zepchnął go ze środka flizów na krawędź, drugi — z krawędzi na ulicę. Z daleka nadjeżdżały wielkie sanie, ciągnione przez cztery konie. Chłopiec posunął się krok naprzód, machinalnie odwrócił głowę—i ujrzał nad sobą olbrzymią postać obarczonego krzyżem Chrystusa, który pochylił się i wyciągnął ku niemu rękę, jakby mówiąc:

— Co ty robisz?...

Jednocześnie, u stóp męża boleści, który tak dziatki miłował, sierota dostrzegł otwarte drzwi; cofnął się z ulicy, i wszedł do podziemnego kościoła. Siedziba umarłych przygarnęła zmęczone dziecię.

D. c. n.

ŚLEPA BABKA (zabawa).

Na przestrzeni długiej na 50—60 metrów, ustawia się dwa rzędy pustych butelek, lub doniczek z kwiatami. Odległość między dwoma rzędami tych przeszkód powinna być taka, aby dwie osoby mogły iść swobodnie obok siebie; odległość między butelkami — mniej więcej 130 ctm. Teraz się dobierają niczek, „partji" takich może iść jednocześnie kilka, każda po swoim torze. Pary, które przychodzą do celu najprędzej, przewróciwszy najmniejszą ilość przeszkód, rozgrywają teraz między sobą partję o pierwszeństwo, a pokonywująca wszystkie inne, otrzymuje nagrodę.



pary: dwie kobiety zawiązują sobie oczy i biorą się pod ręce, a do ich łokci, po stronach zewnętrznych, jak to widać na rysunku, przywiązuje się wstążka, którą pośrodku trzyma w obu rękach mężczyzna. Lekkiem pociągnięciem powinien on powstrzymać idące przed nim, jeśli z nich która ma wyjść po za linję butelek. Stosownie do liczby osób i posiadanych butelek lub do-

Trzymającemu wstążkę niewolno ostrzegać głosem idących przed nim, powinien tylko lekkiem pociągnięciem wstążki dawać znać, iż należy się kierowac ku środkowi toru. Można też zawiązać oczy jednej osobie, która przechodzi tor nie idąc przed siebie, lecz cofając się; wtedy trzymający końce wstążki powinien stanąć przed nią, kierując wstążką jak poprzedni.

REGALJA KRÓLEWSKIE.

(Przygody profesora Nickiego i jego famulusa, Pawełka).

Opowiedział Edmund Jezierski.

Ciąg dalszy.

Gdzie on jest?... Co się stało?.. Gdzie jest ów bór tajemniczy?... Gdzie są ci mężowie zbrojni?...

Znajduje się w pokoju, urządzonym zupełnie nowożytnie, na łóżku, a przez otwory wycięte w okiennicy wpadają pełne snopy promieni słonecznych...

Nad nim zaś stał profesor Nicki i z niepokojem dopytywał się:

— Co ci to Pawełku, co ci jest?

Odetchnął z ulgą Pawełek i usiadłszy na łóżku, opowiedział profesorowi cały swój sen dziwny..

Uśmiechnął się tenże i odrzekł:

— To urna przez noc wysnuła ci całą senną opowieść bajeczną.. To, coś widział w śnie, było pogrzebem starosłowiańskim, pogrzebem, jakim przodkowie nasi czcili zmarłych swoich... Szczęście twoje, że był to sen tylko, gdyż jeżeliby to była rzeczywistość, drogo byś przypłacił swą ciekawość... Pojmanego Niemca, tego naturalnego wroga swego, palili pierwotni Słowianie na stosie na cześć zmarłemu. I ty byś uległ temu samemu losowi!

Już nie mógł usnąć więcej Pawełek. Zerwał się z łóżka, ubrał śpiesznie i pobiegł do ogrodu, który go nęcił całym swoim czarem wiośnianym...

Po śniadaniu wnet udali się do żalnika, aby w dalszym ciągu prowadzić tam poszukiwania...

Były one dnia tego bardzo obfite... Znaleziono jeszcze urn parę, oraz szczątki zbroi bronzowej...

Plon poszukiwań, po naradzie z profesorem, pan Tarczyc postanowił przesłać polskim instytucjom naukowym, sobie zatrzymując tylko niektóre drobiazgi.

IX. W Konradowym grodzie.

Pomimo próśb i nalegań pana Tarczyca, profesor Nicki nie chciał zatrzymać się u niego dłużej. Tłomacząc się pośpiechem, tak niezbędnym przy jego poszukiwaniach, zaraz na drugi dzień wyruszył w dalszą drogę...

Jechali wszyscy zadowoleni bardzo... Pani Marcinowa kontenta była z tego, że wypoczęła sobie należycie po trudach weselnych, Tomasz również z tego samego, profesora zaś i Pawełka cieszyły najwięcej wiezione w walizce urny i wykopaliska.

Profesor z zajęciem studjował mapę, obliczając coś, wreszcie rzekł do Tomasza.

— Na południe powinniśmy stanąć w Czerwińsku; odpoczniemy tam trochę, posilimy się, a następnie w dalszą wyruszy-

my drogę, by na noc stanąć w Wyszogrodzie...

— Tak, — dorzuciła pani Marcinowa: dopóki pan profesor nie napotka znów kogoś, kto będzie rozkopywać stare doły, i nie zatrzyma się u niego na dni parę...

— Nie narzekałaby Marcinowa, nie narzekała,—odrzekł profesor: wypoczęła sobie należycie, nabrała sił do dalszej drogi ..

— Która, Bóg wie, kiedy się skończy,— odcięła się Marcinowa.

I trwałaby ta sprzeczka wzajemna niewiadomo jak długo, gdyby Pawełek nie zagadnął o coś profesora... Ten mu począł objaśniać i w ten sposób spór został załagodzony.

Wkrótce też w oddali błysnęły wieżyce kościelne w Czerwińsku i bryczka wjechała między domki miasteczka.

Tomasz zajechał przed jedyną oberżę, i podczas gdy pani Marcinowa zajętą była przygotowaniem południowego posiłku, profesor z Pawełkiem udał się na zwiedzenie opactwa i kościoła...

— Czerwińsk — objaśniał go profesor, należy do najstarszych miast w Polsce. Pomnikiem przeszłości jego jest właśnie ten kościół wspaniały oraz ruiny klasztoru, wybudowanego w roku 1117 przez sławnego Piotra Dunina, hrabiego na Skrzynnie.

Powstałe tam opactwo czerwińskie wzbogacali następnie daninami: Bolesław Kędzierzawy w 1161 r., Kazimierz Sprawiedliwy, Konrad I ks. mazowiecki i Konrad II ks. mazowiecki.

W r. 1410, gdy hufce polskie dążyły, by na polach Grunwaldu śmiertelny acz zwycięski bój stoczyć z odwiecznym wrogiem swym, krzyżakiem, król Władysław Jagiełło, tu, przed cudownym obrazem N. M. Panny, błagalne modły o zwycięstwo zasyłał. A gdy Bóg poszczęścił orężowi jego—hełm swój i wota przeróżne na ołtarzu w podzięce złożył.

(D. c. n.)

PAPAJE.

(Z humoru ludowego).

Za dawnych czasów, kiedy to o sól było trudno, a już ją ludzie za przysmak uważali, Papaje, którzy też o niej coś niecoś słyszeli, niektórzy nawet próbowali, postanowili po ten specjał jechać do najbliższego miasta Płońska, całą gromadą.

Wybrało się w drogę kilkunastu statecznej szlachty, obejrzeli wozy, konie, uprząż parcianą i ruszyli w drogę. Nikt wprawdzie z nich w tak daleki świat nigdy nie wyruszał, nikt nie znał dokładnie do miasta drogi, słyszeli jednak od sąsiadów i od ludzi przyjezdnych, że miasto leży na południe i nieco na zachód, uradzili więc wyjechać po południu, gdyż wtenczas po słońcu akurat zajadą na zachód do miasta. Droga była niedobra, piaszczysta; konie, które owsa nigdy nie widziały — liche, szły też noga za nogą.

Upał mocno doskwierał, Papaje się nieco zdrzemnęli...

Ku wieczorowi dojechali do jakiegoś lasu, a o mieście ani słychu.

Na szczęście spotkali biegnącego drogą jakiegoś szewczyka, zaraz go też obskoczyli i jako człowieka świadomego, zapytali, czy daleko jeszcze do miasta.

(Wspomniany las był już na gruntach miejskich).

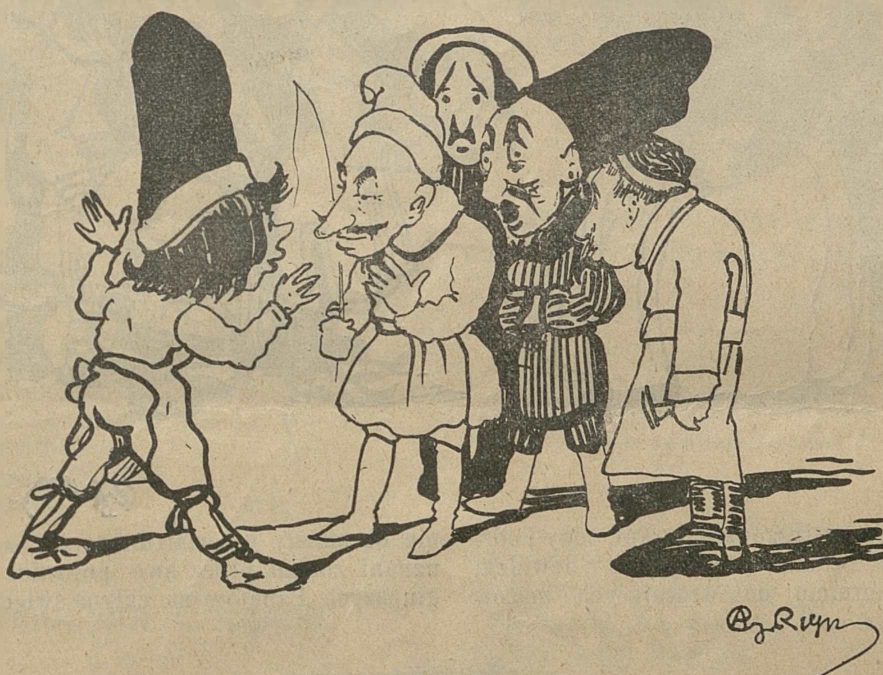
— A! bójta się Boga, toć wy na jutro na południe zaledwie ściągnieta do Płońska! — odrzekł im szewczyk i rozpytał się

ich zaraz, skąd jadą i poco, rozmówił się z niemi po ludzku, a że opowiadał, jako wiele już widział i sam w mieście mieszkał, więc szlachta rada go słuchała i wziętemi z domu zapasami szczerze ufetowała.

Szewc głodomorek podjadł sobie wcale nieźle i nabrał jeszcze większego rezonu...

Uproszony przez szlachtę, wybrał im w lesie miejsce na nocleg i postanowił z nimi przenocować.

Ustawiono wozy rzędem, dyszlami w stronę miasta i zaczęli się jegomoście do snu układać, ale — i tu okazała się nowa niedogodność: nikt nie chciał w nieznanym lesie leżeć od brzegu.



Pomysłowy szewczyk i na to znalazł sposób. Wyszukał nieopodal znajdujące się wielkie mrowisko, wsadził w środek kij z linką i podług niej wyznaczył każdemu legowisko, głowami do mrowiska. Papaje patrzeli na tę operację z niedowierzaniem, przymierzyli jednak i ku wielkiej radości zauważyli, że nikt nie był od brzegu, każdy miał po bokach dwóch swoich znajomych.

Ucieszeni i spokojni, że przecież czuwa nad niemi ów szewczyk, człowiek dobry i rozumny, zasnęli sobie spokojnie.

Wprawdzie poruszone kijem mrówki rozlazły się z mrowiska i wkrótce zaczęły kąsać zażarcie głowy i twarze napastników, to jednak tembardziej uspokoiło Papajów, bo myśleli sobie:

— Dobre to widać miejsce do spania; znać, że tu często ludzie legiwają, kiedy tyle zostawili robactwa.

Nad ranem, licho ubranego szewczyka przejął poranny chłód, zerwał się więc czemprędzej, poodwracał wszystkie lekkie wózki dyszlami w przeciwną stronę i krzyknął ostro na Papajów, żeby rychło wstawali i natychmiast jechali prosto przed siebie, to sama droga doprowadzi ich do miasta.

Rozespana szlachta zerwała się raźno do drogi, a po ujechaniu kilku wiorst, zaczęła miarkować, że jest już widocznie niedaleko celu podróży, boć i lasy i droga taka sama, jak w pobliżu ich wsi.

— Zwyczajnie, — mówili starsi ludzie: — tak jak koło ludzkich siedlisk.

Wkrótce Papaje zauważyli w lesie krowy takie same, jak u nich, jedna nawet była łaciata bez roga.

Zbliżają się wreszcie do miasta, bo widzą już dymy, aż tu Maciek, jeden z najmłodszych, woła z pogardą:

— O la Boga! a dopieroż to mi miasto! Toż to dycht, jak nasze Gościce, a i ta chałupa, to tak samo, jakby pana Bartłomieja.

Zobaczywszy zaś parę niewiast, jako ciekawy, bo młody, dodał:

— A i te mieszczki nic się lepiej nie ubierają od panny Anieli, albo i od panny Kasi!

Ci na nie wytrzeszczyli oczy, z pewnem niedowierzaniem pytają jednak:

— Gdzieby tu można dostać soli?

Co się potem działo, trudno opowiedzieć! Podobno tylko niektórym Papajom ogrom-



Tymczasem, usłyszawszy turkot, żony i córki Papajów, ciekawe miejskich nowinek, wyruszyły hurmem do wracających mężów i ojców.

nie obrzmiały od wiatru twarze, a wszyscy uznani zostali przez swe połowice za najgłupszych Papajów na całym świecie.

KRONICZKA.

△ Monsignor Cerebotani, znany elektrotechnik i wynalazca włoski, zbudował przyrząd, na którego podstawie można prowadzić rozmowy telefoniczne na znacznie większą odległość niż dotychczas. Przyrząd ten Cerebotani nazwał „Zonoforem". Podobno aparat ten ma umożliwić także rozmowy zamorskie.

△ Między Turcją a Czarnogórzem wynikł zatarg, a nawet przyszło do krwawych starć na pograniczu. Sprawę jednak całą załatwiono pomyślnie na drodze dyplomatycznej.

△ W tych dniach dokonano poświęcenia kamienia węgielnego, pod nowy gmach Bibljoteki publicznej, wznoszony przy ul. Koszykowej Nr. 26, z ofiarności p. Eugenji Kierbedziowej.

△ W Afryce zginął na polowaniu, zabity przez rozjuszonego bawołu, znany ogólnie lotnik, Latham.

△ W Bochum, w Westfalji, w kopalni węgla Lothringen, nastąpił wybuch gazów, ofiarą którego padło około 170 górników.

„O własnych siłach“.

Łamigłówka sylabowa

ułożona przez Z. W.

—o—

Z następujących sylab ułożyć 10 wyrazów pięcio literowych, których początkowe litery, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko znanej poetki polskiej, a końcowe nazwisko znanej powieściopisarki polskiej.

Sylaby: ast, krzew, ci, i, na, po, o, na, os, kon, kar, kaz, raz, pas, za, go, cho, ma, pa, ak, le.

Znaczenie wyrazów:

1. Rzeka w Afryce.
2. Imię męskie.
3. Inaczej rozkaz.
4. Drogie kamienie.
5. Inaczej postój.
6. Przysłówek.
7. Syn Abrahama.
8. Przysłówek.
9. Inaczej krzak.
10. Choroba.

Preludjum Chopina.

Cicho!.. to nuta... dźwięk łkawy, urwany...
Cicho. Lecz w ciszy te łkające tony,
To jakby hymny niebios, kościołów organy,
To dalekie, powiewem kołysane dzwony.

Zaszumiał bór i listki łopoczą kaliny
I łan zboża kołychnął swoje złote kłosy,
Gdzieś w oddali zagrała fujarka z wierzbiny,
Brzoza cicho wionęła płaczącemi włosy.

Cisza. — Melodja płynie falą wód kryształu
I zda się ku niebiosom wzlatywać skrzydłami
I ścichać tam w oddali, i ginąć pomału,
Ginąc w białym obłoku między aniołami.

Szumi bór, w rzece woda płynie jasna, cicha,
Nad nią kibić schylona bielejącej lilji,
Rosa ścieka perełką, jak łezka z kielicha,
Nad nią pyłek srebrzysty tęczowych motyli;

Drga powietrze muzyką, łzawą pieśnią dźwięczy,
Jakby trylem słowiczym gdzieś w liści gęstwinie
Czasem powiew przerywa i żałośnie jęczy...
Znów cicho — tylko w dali ta melodja ginie.

T. Nartowski.

Łamigłówka kreskowa

ułożona przez Marychnę K.

Z następujących sylab ułożyć 6 wyrazów, których litery oznaczone numerami, utworzą nazwę miasta w Galicji.

Sylaby: ta, ka, tur, kel, kra, wa, dzio, na, cja, ner, ków, cław, pa.

1.	1	—	—	—	—	—
2.	—	2	—	—	—	—
3.	—	—	3	—	—	—
4.	—	—	—	4	—	—
5.	—	—	—	—	5	—
6.	—	—	—	—	—	6

Znaczenie wyrazów.

1. Imię męskie zdrobniałe.
2. Sprzęt domowy.
3. Państwo w Europie.
4. Rodzaj służącego.
5. Miasto starożytne w Polsce.
6. Imię męskie.

Rozwiązanie łamigłówki 1-ej i 2-ej z N-ru 30-go nadesłał Telesfor z ul. Wilczej.

Rozwiązanie łamigłówki sylabowej i liczbowej z N-ru 31-go nadesłali: Złośnica, Płomyk z Bierwieńciszek, Telesfor z ul. Wilczej.

Rozwiązanie łamigłówki sylabowej z Nr. 29.

1.	Bar	Bolesław Prus.
2.	Ostenda	
3.	Lena	
4.	Etna	
5.	Sama	
6.	Łukasz	
7.	Amsterdam	
8.	Warta	
9.	Prusy	
10.	Rodan	
11.	Ucho	
12.	Sabina	

Rozwiązanie łamigłówki sylabowej z Nr. 29

1.	Warszawa	Wacław Szymanowski.
2.	Ananas	
3.	Cynamon	
4.	Ławka	
5.	Astra	
6.	Wawel	
7.	Sobieski	
8.	Zebu	
9.	Y	
10.	Moskwa	
11.	Anna	
12.	Narew	
13.	Orzeł	
14.	Wino	
15.	Samochód	
16.	Kraków	
17.	Irys	

Administracja uwzględnia reklamacje tylko w przeciągu dwóch tygodni i tylko prenumerujących pismo **wprost** w administracji (Nowy-Świat 53 i Ordynacka 8 m. 7).

Adres Administracji—Nowy-Świat 53.

Adres Redakcji—Ordynacka 8 m. 7.

Warunki prenumeraty.

	w Warszawie	z przesyłką
Rocznie	rb. 2 kop. 50	rb. 3 kop. 50
Półrocznie	„ 1 „ 25	1 „ 80
Kwartalnie	„ — „ 65	— „ 90
Rocznie z dodatkami w oprawie	rb. 4 kop. 30	5 „ 30

Za odnoszenie do domu 10 kop. kwartalnie.
W Galicji kwartalnie kor. 2.40.

TREŚĆ NUMERU:

Redaktor i wydawca: **Marja Bujno-Arctowa** Druk M. Arcta w Warszawie, Ordynacka 3